

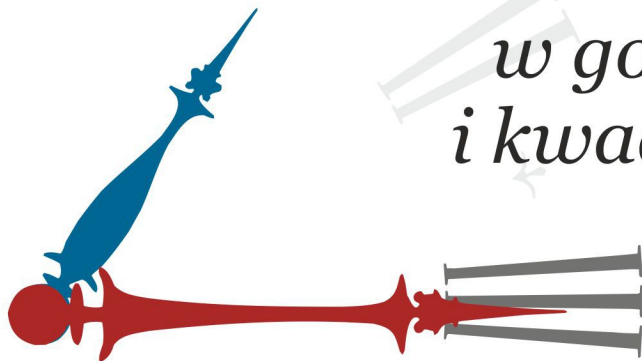
XVII

*dramaty*

**Jerzego**

**Szaniawskiego**

*w godzinę  
i kwadrans*



**Robert  
Żebrowski**

III

**rysunki  
Błażej Małczyński**

## **CHŁOPIEC LATAJĄCY**

Szanowny Panie Komisarzu,

serdecznie dziękuję za umożliwienie mi złożenia tych zeznań na piśmie, co pozbawiło mnie wątpliwej przyjemności odwiedzenia lokalnego cyrkułu policji. Dziękuję, że uznał Pan mój podeszły wiek za okoliczność ważną i mogę teraz zaspokoić pańską ciekawość w komforcie zacisza mojego gabinetu, przed czystą kartką papieru, a nie przed lampą skierowaną w twarz przesłuchiwanego. Postaram się odwzajemnić Panu na tyle skrupulatnym opisem nieszczęsnej postaci zmarłego tragicznie prezesa Brussa, na ile tylko pozwoli mi osiemdziesięcioletnia głowa byłego naukowca i byłego wychowawcy. Na pewno wyjdzie to lepiej niż notatka jakiegoś służbisty o tym, co mu mogłem powiedzieć. Pismo zmusza do dyscypliny – i tej – jak umysł starca mi pozwoli – będę się starał trzymać.

Zacznę zatem od początku, czyli od dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem przed sobą obecnego denata, prezesa związku aptekarzy, właściciela bardzo rozbudowanej apteki, zacnego obywatela naszego miasta, pana Brussa.

Było to jakiś czas po miejskim festynie, który, o ile pamiętam, odbył się na tutejszym stadionie dokładnie czterdzieści lat temu. Podczas tego festynu właśnie mój przyszły wychowanek i uczeń, aptekarz Bruss, wlaźł podstępnie do balonu, którym wleciała w niebo egzotyczna piękność Victoria Vitolino. Chłopak – wtedy jedenastoletni – wkręcił się na stadion, z którego balon startował, niezwykle sprytnie i niepostrzeżony wdarł się do balonowego kosza, obrzucając potem zaskoczoną panią Vitolino wzrokiem na pół niewinnym, na pół lubieżnym. Nie wiem, co sprawiło, że nie wyrzuciła go z ko-

sza na murawę, nie wiem, co jej powiedział, aby spełnić swoje marzenie, dość że wzięła go na „przejażdżkę” balonem mimo to, iż zdawała sobie sprawę ze słonej grzywny, jaką niebawem musiała zapłacić za zabranie w powietrze cudzego dziecka bez zgody jego ojca.

Mnie do miasteczka naszego sprowadził właśnie ojciec Brussa, również aptekarz, pragnąc dziecko „na ludzi” wykierować. Przyznam, było to trudne, nawet dla mnie, wówczas fachowca od karkołomnych pedagogicznych zadań, a dla ojca naszego nieszczęsnego bohatera – chyba niemożliwe.

Przypominam Panu, że był to rok 1873 i świat inaczej wtedy wyglądał, ludzie byli inni, mniej ośmieleni, bardziej konserwatywni, dlatego na ich tle nasz młody Bruss był niezwykle ewenementem. Ojciec jego postawił przede mną trudne zadanie – ale takie właśnie wyzwania wtedy lubiłem. Nie interesowali mnie średniacy, nijakie dzieci, bezduszne kukły odtwarzające rzeczywistość jak małe, zaparowane lusterka. Szukałem niezwykłości, tych nielicznych ponadprzeciętnych, którzy świat mogliby wysadzić w powietrze, gdyby im kto dość dynamitu naprodukował.

Taki był młody (wtedy) Bruss. Bez ogródek opowiadał mi o swych wyczynach, dokonywanych wraz z kumplami jego, którymi dowodził bezspornie, Olkiem i Felkiem. Szyldy na zakładach miejscowych sklepów, knajp, zakładów pogrzebowych i aptek podmieniali, aby zmylić idących po leki i do baru ich skierować. Psy biegające po parku demolowali behawioralnie, śmiejąc się później, że pan psa woła go do nogi, a pies ucieka. Nie był jednak Bruss nieudacznym półgłówkiem, co w nieświadomości i z nieświadomości świat chce podpalić. Był geniuszem.

Wiem, Panie komisarzu, że w kontekście tego zeznania, sporządzonego przeze mnie na okoliczność tragicznej śmierci Brussa, śmierci pozornie bezsensownej, oświadczenie moje o jego „geniuszu” brzmieć może dziwnie. Ale tak było.

Bo, przyzna Pan, niecodzienna to historia z roku 1873, że ponętna Włoszka żyjąca z eksponowania się we wzlatującym balonie, ryzykuje wiele, aby uczynić zadość zachciance jedenastolatka. Niech

sobie Pan przy tym uprzytomni, że tęsknota za lataniem była wtedy niemal niemożliwa do spełnienia, balonów bowiem było mało, a samolotów wcale. A Brus chciał polecieć wysoko. I to bardzo chciał.

Temu, że udało mu się polecieć, zawdzięczam swoją obecność w tym mieście, gdyby bowiem nie był aż tak zuchwały, jego ojciec nie zainwestowałby w tak sławnego jak ja, wówczas, pedagoga, aby sprowadził jego latorośl „na ziemię”. Przyznam szczerze – nie byłem tanim pracownikiem. Ze ćwierć dochodów z apteki szło na moje wynagrodzenie. Ale cóż – jedyny syn, dziedzic rodzinnej fortuny, widać był tego wart.

Rachunek ekonomiczny dopiął się i nawet zwielokrotnił. Inwestycja starego Brussa zwróciła się, patrząc na majątek denata, wielokrotnie. Młody Bruss tę sprawność w interesach też mnie zawdzięcza. Potrafił swój geniusz opanować i zaprząć do codziennej, brudnej, trudnej, nudnej roboty. Po śmierci ojca stworzył ogromne aptekarskie imperium, został prezesem największego w kraju aptekarskiego stowarzyszenia, pociągał za sznurki na rynku leków jak aktor kieruje bezwolnymi kukiełkami. Zdobył fortunę, a przy niej piękną żonę i niezwykle lotną umysłowo córkę, która teraz nie bardzo wie, co ze sobą zrobić po śmierci ojca. Ale niech się Pan nie lęka o te zagubione pozornie dziewczę – wynajmie „ekonomę” do zarządzania fabryką aptek i zostanie poetką. Może nawet feministką albo, nie daj Boże, lesbijką. Talent ma tego rodzaju, że do wszystkiego się nada.

Co do samego dnia wypadku, kiedy pan Bruss zginął, wiem, że miałem jakieś złe przeczucie. Siedziałem na ławce w parku widząc naprzeciw wejście do domu Brussa, i wejście do jego apteki. Widziałem tych, którzy wchodzi, i tych, co wychodzą. Wyobrażałem sobie, co tam się w środku dzieje, choć nie chciałem sobie wcale tego wyobrażać. Ale coś mnie zmuszało do tego wyobrażania sobie ostatniego dnia życia mojego najważniejszego wychowanka. Siedziałem i pozwalałem pracować mojemu umysłowi obrazami.

Oto wchodzi do domu Brussa Helena, sekretarka. Wiedziałem od dawna, że się ona w Brussie potajemnie kocha, nieszczęsna młódka, że dwadzieścia lat młodsza od obiektu westchnień, wreszcie

wyzna mu miłość. Zapewne wyznała. Gorąco i licząc na jakąkolwiek wzajemność, na poruszenie uczuć. Nic z tego. Bruss czuje tylko jedno – latanie wysoko. Z Heleną wyżej nie wzleci, wzięłby tylko na siebie niechciany ciężar skrywanego z trudem romansu. Odmawia więc skrupulatnie racjonalnie, chłodno, obojętnie. Ale, broń Boże, sekretarki nie zwalnia, wie bowiem, że w końcu obrazi się na jego obojętność i potraktuje poważnie młodego szefa jego laboratorium, który wzięłby ją w ciemno w każdej chwili, zakochany po uszy w pięknym ciele i lotnej głowie. Sekretarka wychodzi smutna i przygnębiona. Więc zgadłem. Lubię swoją ławeczkę proroka naprzeciwko apteki.

Potem wchodzi młody malarz, który od kilku tygodni próbuje zrobić karierę portrecisty i plakaciarza w naszym mieście. Pewnie przyniósł Brussowi nowy projekt reklamy jego najważniejszego leku – neotranu. Bujna wizja malarza wyśmiana zostaje przez aptekarza. Malarska wizja musi być taka, żeby była reklamowo skuteczna. Nic tu nie ma być piękne – ma przyciągać oko. Malarz protestuje – lecz w końcu ulega sugestiom Brussa – wszak nie ma z czego żyć, a aptekarz rzuca mu jakieś pieniądze, jakieś zaliczki, jakieś nadzieje na więcej. Malarz wychodzi z apteki zadowolony – lecz niepewny. Co usłyszał? Muszę zgadywać, ale założę się, że coś w tym rodzaju: „Pan mi dziękujesz, ale nie masz za co. Czy rolnik dziękuje krowie za to, że je jego trawę, a potem daje mu mleko? Pan jesteś tą krową, co mi reklamy wymaluje, a moja knajpa tą łąką, która ma Pana wykarmić. Jedz więc do syta – i maluj.”

Czy jestem dumny ze swojego ucznia? Nie. Może to Pana Komisarza zdziwi, ale nie jestem z niego ani trochę dumny. Towarzyszyłem mu od jedenastego roku życia, od chwili, gdy jego ojciec lot balonem potraktował jako wyzwanie rzucone światu zbyt poważnie, aby nie zareagować. Wiedziałem o nim wszystko, kiedy go „urabiałem” dla świata, i wiem o nim teraz wszystko, bo mnie jako obiekt oddziaływań zafascynował. Jemu wydawało się, że jesteśmy wobec siebie całkowicie szczerzy, ale ja wiem, że nie byliśmy.

Rozmawialiśmy bez uprzedzeń o wszystkim – on wiedział, że zrobiłem z niego skutecznego biznesmena i zadowolonego burżuja, ale

nie miał wyjścia: urodził się jako burżuj więc mógł tylko korzystać z burżujskich przywilejów świadomie i w pełni – albo nieszczerze zaprzeczyć swojej pozycji i możliwościom i wejść w totalny konflikt ze światem, burząc wszystkie dostępne mu dobra: rodzinę, aptekę, związek aptekarzy, któremu przewodził, pozycję w mieście.

Rozmawialiśmy o wszystkim – ale o jednym nie. Kiedyś przypadkiem dowiedziałem się od zaufanych moich donosicieli, że Bruss załatwił miejsce w naszym miejskim domu starców pewnej starej Włoszce, Victorii Vitolino. To ta, co go balonem jako jedenastolatka przewiozła. Nie wnikałem, dlaczego chce ona być właśnie u nas w domu starców, a nie w Neapolu czy Wenecji. Nie to jednak jest najważniejsze: Bruss starał się ukryć przede mną ten fakt i wierzył do końca, że go ukrył. Victoria Vitolino mieszkała w naszym domu opieki jako Anna Wiśniewska. Była nieco młodsza ode mnie, ale już mało sprawna, sama nie chodziła. Nikt jej w miasteczku nie rozpoznał po czterdziestu latach, nikt się nią nie interesował. Bruss wyśmienicie wyczuł sytuację: nikt nie spostrzeże, że bogaty aptekarz lokuje w miasteczku swoją pierwszą dziecięcą miłość, swoją panią z przestworzy, swoją mistrzynię latania.

Nie ukryję przed Panem, wszak wyśmienitym śledczym, faktu, że to zdarzenie skłoniło mnie do refleksji, iż na swojej pedagogicznej drodze w gruncie rzeczy poniosłem klęskę. Oto uczeń i wychowanek już dorósł, samodzielny, zataja przede mną, starcem, fakt, iż swą dziecięcą fascynację ukrył przede mną tuż od moim nosem.

Pytał Pan, Komisarzu, czy w dniu śmierci tragicznej Brussa zauważyłem coś niezwykłego, niecodziennego, jakiś ślad nadzwyczajności, który tezę o nieszczęśliwym wypadku mogły obalić. Nie. Nic nadzwyczajnego, dla mnie, nie było. Siedzieliśmy przy kolacji w ścisłym rodzinnym gronie, kiedy nagle wpadł ktoś z podwórka i powiedział, że dom starców, tuż obok apteki, pali się. Bruss zbystrzał, ożywił się, wstał nagle i podbiegł do ona, które na ten dom starców wychodziło. W oknie stała kobieta. Budynek płonął. Spojrzałem i ja. Poznałem tę kobietę. To była bohaterka lotu balonem sprzed czterdziestu lat.

Proszę wybaczyć mi śmiałość i uzurpowanie sobie prawa do przewidywania rzeczy nieprzewidywalnych – ale już wtedy, w pierwszej chwili, wiedziałem, co będzie dalej. Bruss za kilka dni skończyłby 51 lat. Nie chciał dożyć tego wieku. Nie chciał być starszy niż pół wieku. Bał się starości. Bał się upośledzenia, niedoskonałości, uzależnienia od innych. Zbyt lubił latać, aby prosić o wsparcie. W mgnieniu oka podchwycił okazję. Mógł umrzeć – i to umrzeć pięknie. Więc umarł, ratując staruszkę podczas pożaru domu opieki. Tak będzie tu pamiętany.

Być może ten pożar w domu starców był przypadkowy, choć dla mnie przypadkowy nie był, bo w tym właśnie dniu świętowałem w domu Brussa swoje osiemdziesiąte urodziny. Widziałem Brussa biegnącego ku pożarowi, na którego tle widniała stojąca w oknie płonącego domu piękna jednak, choć stara, postać Victorii Vitolino. On, pięćdziesięciolatek, wyrwał się spod mojej nieustającej kurateli, kurateli osiemdziesięciolatka. Pobiegł za swoim dzieciństwem, za swoimi marzeniami, za swoją nicością, przed którą chronilem go przez czterdzieści lat. Moja smycz zawiodła. Wiedziałem, że żaden protest na nic się nie zda. Bruss gnał ku włoszce i ku śmierci jak szalony. Był szalony.

Zatem, Panie Komisarzu, wykluczyłbym udział osób trzecich w spowodowaniu tej śmierci. Wykluczam to oczywiście tylko psychologicznie, tylko jako emerytowany były pedagog.

Jedno tylko nie pozwala mi zasnąć, więc podsuwam panu temat śledztwa być może w tej sprawie przełomowego, odmiennego od sztampy policyjnych domysłów: dlaczego dom starców w naszym mieście spłonął? Czy ktoś go podpalił? Czy służby sprawdzają wersję podpalenia jako przyczynę pożaru?

Proszę pamiętać, Komisarzu, pedagogika stosowana blisko jest psychologii. Kto miał interes w tym, aby dom starców spłonął? Żona Brussa? Zakochana w nim sekretarka Helena? Koledzy córki, namówieni przez nią? Kto znał tajemnicę Victorii Vitolino, fascynacji Brussa?

Pytania, Szanowny Komisarzu, mnożą się w nieskończoność, kiedy o tym myślę. Staram się pisać do Pana szczerze, więc tych dodatkowych wątków ukryć nie zamierzam.

Serdecznie dziękuję za uchronienie mnie przed przesłuchaniem. W okolicznościach oficjalnych wolę pisać niż mówić. Napisałem więc całą prawdę i tylko prawdę. A nawet jeśli nie całą, to tylko z racji wieku i niepamięci.

Pozostaję z szacunkiem dla Pana i Jego urzędu.

*Profesor .....*





ISBN 978-83-963109-0-3  
Stowarzyszenie „Zegrzynek Szaniawskiego”  
Legionowo, 2021

**Mazowsze.**  
serce Polski

Druk wersji papierowej sfinansowano ze środków  
Samorządu Województwa Mazowieckiego  
w ramach projektu „Szaniawski – (na) skróty do Zegrzynka”

**za'KS**  
sprzyjamy wyobraźni

Partner projektu: Stowarzyszenie Autorów ZAIKS